

Milena Wójtowicz

Zeznanie

Ewa Z., personel pomocniczy, pracownik nr 230567.

Naprawdę nie wiem w czym ja mogłabym pomóc. Nie zajmuję się tu niczym ważnym. Przyjechałam tylko na wakacyjną praktykę.

Nie wiem od kogo o niej usłyszałam. To znaczy na pewno wiem, ktoś mi o tym wspomniał. Nie pamiętam kiedy, ani gdzie to było. To aż takie ważne? Chciałam mieć jakąś ciekawą pozycję w CV, coś takiego, co skłoniłoby przeglądającego zgłoszenia do zatrzymania się przy moim nazwisku. Teraz nie wystarczy mieć samego wykształcenia, praktyka i doświadczenie są ważne, ale dobrze się też czymś wyróżniać. Pomyślałam, że dwa miesiące spędzone w Instytucie Rozwoju i Badań Psychologiczno – Socjologicznych w Delhi to już coś. Poszukałam w sieci i znalazłam adres emailowy jednego z profesorów. Napisałam, bo co mi szkodziło spróbować. Tydzień później dostałam odpowiedź. Nie spodziewałam się tego tak szybko, prawdę mówiąc w ogóle miałam wątpliwości czy warto ubiegać się o jakąkolwiek pracę. W końcu zdana matura to nic. Nie powiodło mi się na egzaminie na uniwersytet. Trochę źle to na mnie wpłynęło, zresztą nic dziwnego. Człowiek snuje takie wspaniałe plany, a potyka się już na samym początku. Miałam straszliwego doła, myślałam o złapaniu posady jakiejś kelnerki, może o jakimś kursie na sekretarkę. Strasznie chciałam być już samodzielna. Propozycja profesora M. spadła mi jak z nieba. Okazało się, że ktoś mnie chce i to może nawet na dłużej niż dwa miesiące. Pisał, że przeniósł się z Instytutu w Delhi do laboratorium na Filipinach i potrzebuje kogoś do koordynacji miejscowego personelu. Chciał zatrudnić kogoś odpowiedzialnego i skłonnego pracować za niewygórowaną pensję. Napisał, że wierzy, że jestem odpowiednią osobą do tej pracy. Miałam tydzień na podjęcie decyzji.

Oczywiście, że się zgodziłam. Napisał, że we mnie wierzy. To znaczyło dla mnie tak wiele, że komuś byłam potrzebna, że nie byłam kompletnym zerem. Na ulicach spotykałam ludzi z mojego liceum. Podostawali się na studia. Uciekałam na drugą stronę ulicy albo do autobusu, byle tylko nie słyszeć pytania "a co u ciebie?". Po wiadomości od profesora przestałam uciekać. Mogłam mówić z dumą, że postanowiłam odłożyć studia o rok, który przepracuję w Instytucie Biologii Ewolucyjnej. Nie dodawałam, że to na Filipinach. Mówiłam "za granicą" i że to filia amerykańskiego centrum badawczego. Nie miałam co prawda pojęcia o biologii, prawdę mówiąc, nie znosiłam jej, ale w końcu to nie ja miałam się w niej babrać, tylko ci naukowcy.

Załatwiłam wszystkie szczepienia, dokumenty, spakowałam się i wyjechałam w wielką podróż.

Niewiele wiedziałam o Filipinach. Tyle tylko, że kwitną tam zamieszki, burdele i świątynie. Kupiłam sobie jakiś przewodnik, zamierzałam przeczytać go w samolocie, ale paskudnie się poczułam. Nie znoszę latać. Wylądowałam na miejscu wiedząc tyle, ile wiedziałam wcześniej, ale okazało się, że nie stanowi to żadnego problemu. Czekał na mnie kierowca z instytutu i od razu pojechaliśmy do, jak to określił "miasteczka naukowego". Trafna nazwa, muszę przyznać. Na miejscu jest wszystko, przez dwa miesiące nie wychyliłam stąd nosa. Organizowali jakieś weekendowe wycieczki do dżungli, ale nocleg wśród węży, insektów i zarazków jakiś strasznych chorób nie wydaje mi się najlepszym sposobem spędzania wolnego czasu. Wolałam surfować po sieci.

Nie odwiedzałam żadnego z pobliskich miast, zresztą "pobliskie" to nie jest właściwe słowo. Instytut leży całkowicie na uboczu. To ma nam zapewnić spokój od zamieszek i wścibskich turystów. Rzeczywiście, nigdy nikogo nie widziałam w pobliżu.

Tak między nami, to kiedy samochód, który po mnie przyjechał opuścił miasto, to zaczęłam się trochę bać. Czytałam o handlu żywym towarem i innych takich historiach, a tu nagle znajduję się w obcym kraju, w samochodzie jadącym przez dżunglę w niewiadomym kierunku, z kierowcą, który zna tylko parę słów po angielsku. Miałam już niezłego pietra, kiedy dojechaliśmy wreszcie do instytutu. Odetchnęłam naprawdę z wielką ulgą.

Moja praca nie jest trudna. Większość podległego mi personelu wykonuje swoje obowiązki bez zarzutu. Mają szacunek dla pracy. Nie są stąd. Zdziwiłam się, że prawie wszyscy mówią tylko w swoich lokalnych narzeczach. S., wicedyrektor do spraw personalnych, wyjaśnił mi, że to jakiś program wspomagania ludności Trzeciego Świata. W instytucie przez miesiąc zarabiają więcej niż cała ich rodzina w ciągu roku, czy jakoś tak.

Nie pamiętam nazwy programu.

Nie miałam tłumacza, tylko tabliczki z numerami czynności i ich nazwami w każdym z języków. Trochę dziwny sposób komunikacji, ale i tak nie musiałam ich używać. Pracownicy sprząтали, nosili sprzęt, przygotowywali posiłki jakby byli automatami. Prawie nie miałam co robić.

Nie wiem jaki sprzęt. Nie znam się na tym.

Przez dwa tygodnie chodziłam pilnując mojego personelu, ale to było bez sensu. Robili wszystko, zanim jeszcze zdążyłam wydać im polecenie. Zaczęłam się nudzić.

Nie chciałam o tym nikomu mówić. Wychodziło na to, że jestem tu absolutnie zbędna. Mogłam spakować się i wracać do domu, wpaść w kolejnego doła. Trochę czasu spędziłam na wyobrażaniu sobie mojej rozmowy z przyszłym pracodawcą, za jakieś dwa lata, jak już zacznę studia. Ja - piękna, pewna siebie i przyjaźnie nastawiony człowiek za biurkiem.

- A więc podjęła pani pracę w Instytucie Biologii Ewolucyjnej od razu po maturze?

- Tak, doszłam do wniosku, że zanim rozpocznę studia powinnam zdobyć trochę zawodowego i życiowego doświadczenia.

- Czym zajmowała się pani w instytucie?

- Zarządzałam personelem pomocniczym.

- To bardzo odpowiedzialne stanowisko. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę pani wiek.

- Moi pracodawcy dali mi szansę i byli ze mnie zadowoleni.

Przerabiałam to w myślach tysiąc razy. I dalej nudziłam się jak diabli.

Z nudów zaczęłam interesować się pracą instytutu. Zaczęłabym interesować się ludźmi, ale byli starzy, nudni, roztargnieni i w głowie mieli tylko początki ewolucji. Rozmowa z kimś, kto może mówić tylko o genach i mutacjach, a do tego ciągle zapomina jak masz na imię, to koszmar. Byłam już Edną, Elą, Eloise i Eryką.

Próbowałam czytać naukowe publikacje, ale nie rozumiałam z nich ani słowa.

Zajęłam się gramami komputerowymi. Zwiedzanie instytutu jakoś mnie nie pociągało. Jest taki kliniczny. Można się zgubić, dlatego zawsze nosiłam ze sobą plan. Oficjalnie to zabronione, ale kto by mnie sprawdzał. Mam najwyższe stanowisko w moim pionie. Nie ma żadnego wicedyrektora do spraw sprzątaczek, tragarzy itd.

Do bloku H nie chodziłam wcale. Stołówka, pomieszczenia mojego personelu, mieszkania pracowników i obiekty rekreacyjne mieszczą się w blokach od A do D. Od reszty zabudowań oddziela je niewielki park. Bloki od E do J to laboratoria. Nie miałam tam czego szukać.

To było w czwartek, czwarty tydzień mojego pobytu tutaj. Jedna ze sprzątaczek nie wróciła wieczorem do swojego pokoju. Nie zgłosili mi tego, bali się, ale wątpię, żeby bali się mnie. Na nikogo nie krzyczałam, praktycznie nawet z nimi nie rozmawiałam.

Rano, po śniadaniu, zauważyłam, że kogoś brakuje. Przycisnęłam pozostałych i w końcu ktoś wyjaśnił mi łamaną angielszczyzną, że Mei, tak chyba miała na imię, nie wróciła wczoraj z bloku H.

Nie zawiadamałam nikogo. W końcu personel pomocniczy podlegał mnie. Chciałam pokazać, że umiem sobie poradzić. I trochę się bałam, że gdybym to zgłosiła, wyszło by na to, że nie potrafię rozwiązać drobnego problemu. Pomyślałam, że może coś stłukła i teraz boi się kary. Oni naprawdę byli strasznie strachliwi.

Nie miałam przepustki na blok H, ale skorzystałam z karty jednego z konserwatorów. Po prostu przeszłam za nim po kolei przez wszystkie drzwi. Nic nie mówił, byłam przecież zwierchnikiem.

Z karty przydziałów wynikało, że ta Mei pracowała w podziemiach, na poziomie -3. Winda też była na kartę dostępu, więc zabrałam ją temu konserwatorowi. Naprawiał coś, więc nie potrzebował jej przez jakiś czas.

To było dziwne, takie środki bezpieczeństwa w instytucie, który leży na uboczu i nie zajmuje się niczym specjalnie ważnym. Ale oni tu wszyscy mają hopla na punkcie swojej pracy.

Zjechałam na dół. Poziom -3 przypominał najgorszą piwnicę. Nikogo nie było widać, więc poszłam przed siebie korytarzem. Pomieszczenia miały małe okienka w drzwiach, zaglądałam przez nie do środka. To były jakieś laboratoria. Duże akwaria, masa ekranów i jakichś próbek. Nie wiem co było w tych akwariach, przez szybki mało było widać.

Me-i znalazłam, kiedy weszłam w trzeci korytarz. Zobaczyłam przez okienko, że coś w środku drgnęło i otworzyłam drzwi. Nie były zamknięte na klucz, to był jakiś schowek na miotły.

Wyglądała strasznie. W pierwszej chwili myślałam, że nie żyje. To trochę nielogiczne, bo jeśli ona była martwa, to co mogło poruszać się w schowku. Patrzyła tępo przed siebie, nic nie mówiła, nawet się nie trzęsa. Wydawało mi się, że ludzie w stanie szoku zawsze się trzęsą. Ona wyglądała jak ktoś, kto przeżył wielki szok. Próbowałam ją ruszyć, wyprowadzić na korytarz, ale była jak kamień. Musiałam ją zostawić i znaleźć kogoś do pomocy. Pobiełam dalej korytarzem, wiedziałam że w laboratoriach bliżej windy nikogo nie ma. Jakiś kawałek dalej, nie wiem jak daleko od schowka, drzwi były otwarte. Weszłam.

Zobaczyłam to w tej szklanej kapsule. Wyglądało trochę jak człowiek, ale inaczej. Jak obcy. Oparło dłonie na taflę, jakby na nią napierało, i przyglądało mi się. Nie wiem, czy wtedy się przestraszyłam. Chyba bardziej nie wierzyłam. To dalej na mnie patrzyło. Przechylało głowę na obie strony, jakby się zastanawiało. Potem otworzyło... nie wiem, czy to były usta, czy może raczej paszcza ... Zobaczyłam zęby. Ostre, takie jak u rekina. Miało ich mnóstwo. Kilka rzędów. Wtedy już na pewno się bałam. Uciekłam.

Zostawiłam Mei w tym schowku, wróciłam windą na górę i oddałam konserwatorowi kartę. Wysłałam z bloku i zgłosiłam w biurze ochrony zniknięcie jednej sprzątaczkii. Powiedziałam, gdzie pracowała ostatnio. Natychmiast tam poszli.

Mei nie wróciła do pracy. Nie widziałam jej później. Powiedziano mi, że zakochała się w dostawcy z sąsiedniej wioski, zaszła w ciążę i uciekła do niego, obawiając się niezadowolonia pracodawcy.

A ja wróciłam do bloku H na poziom -3. Oglądałam chyba za dużo filmów, bałam się, że na Me-i też robią jakieś doświadczenia. Czułam się odpowiedzialna. Zrobiłam tak jak poprzednio. Zabrałam kartę konserwatorowi. W budynkach nie ma kamer. Pewnie boją się, że ktoś może za dużo przez nie zobaczyć.

Nie udało mi się wejść do tego laboratorium, w którym było to coś. Próbowałam otworzyć inne drzwi, jedne ustąpiły. Tam też stało akwarium. W środku nie było obcego, tylko człowiek. W każdym razie coś, co wywodziło się od człowieka. To nie była Me-i. Mężczyzna, około trzydziestu lat, ciemny blondyn, normalnej budowy, wysportowany. Pewne różnice były już widoczne. Oczy traciły kolor, tęczęwki zlewały się z białkami. Uszy zanikały. Skóra zmieniała fakturę na bardziej gładką. I miał ostre, spiczaste zęby. Tylko jeden rząd. Patrzył prosto na mnie, myślałam że zaraz rozbije to coś, w czym go zamknęli. Cofnęłam się, wpadłam na jakieś fiołki i próbówki. Szybko wróciłam do siebie i postanowiłam tam więcej nie chodzić.

Poszłam dwa dni później. To coś, to było w próbówkach, wniknęło w moją skórę. Dostałam wysypki, bolały mnie ręce. Nie mogłam iść do lekarza w instytucie. Bałam się, że zniknę jak Mei, gdziekolwiek ona trafiła. Postanowiłam wrócić do laboratorium i sprawdzić, czym się oblałam. Poszukałabym danych w komputerze i znalazła jakieś lekarstwo.

Ciągle był w tym akwarium. Patrzył na mnie, kiedy grzebałam w kartotece i oglądałam próbki. Wracałam tam jeszcze pięć razy. Za każdym razem połykałam jakąś substancję, zwykle kilka na raz. Nie wiem skąd wiedziałam, co powinnam zażywać. Musiałam zrobić sobie zastrzyk z DNA obcego, a to wcale nie było przyjemne. Wszystko mnie bolało, myślałam, że umrę z bólu. Na szczęście nie musiałam dużo pracować i nikt nie zauważył. Trudno było zdobyć soczewki kontaktowe, przez jakiś czas musiałam nosić ciemne okulary. I sztuczną szczękę. Moje zęby mi wypadły. Nowe już rosną, ale chyba nie powinnam ich nikomu pokazywać.

Tak minęło siedem tygodni od mojego przyjazdu.

On tam ciągle jest, w tym akwarium. Niecierpliw się. Na razie był tam bezpieczny, ale teraz będę musiała go wypuścić. Pójdę do niego zaraz po przesłuchaniu. Myślę, że zostanie w lesie, dopóki nie znajdzie dla nas jakiegoś domu. Tu kręci się za dużo ludzi.

Organizacje humanitarne dowiedziały się o tutejszym nielegalnie przetrzymywanym personelu pomocniczym i wywołały tę aferę. Zaraz potem znaleźli ciało Me-i i wy się zjawiliście.

I to wszystko. Cała prawda, przynajmniej taka prawda, jaką ja znam. Kasetę się stopiła? Chyba z tego dyktafonu też już nic nie będzie. Ale to nic. Naprawdę nic. Teraz będę jeszcze musiała wypalić wam mózgi. Wiem, że to nieludzkie, ale ja nie jestem już człowiekiem. Muszę dbać o przetrwanie mojego gatunku, nawet jeśli liczy on tylko dwie sztuki. Dwie sztuki odmiennej płci, to już niezły początek. Oczywiście, mogłam wam nakłamać i powiedzieć, że o niczym nie miałam pojęcia, a wy byście mi uwierzyli. Tylko widzicie, ja się po prostu musiałam wygadać. Jak to wszystko z siebie wyrzuciłam, to od razu lepiej się czuję. Nie bójcie się, to chyba nie będzie aż tak bolało. Mam nadzieję, że nie będziecie żywić do mnie urazy. Ja naprawdę potrzebowałam tej rozmowy.

Wójtowicz Milena